

# prosto- cent

*ANNA ADAMOWICZ* ● 3

*CEZARY CISZAK* ● 4

*MAGDALENA DRAB* ● 5

*VICTOR FIGNERSKI* ● 7

*MATEUSZ GÓRNIAK* ● 8

*HANNA JANCZAK* ● 10

*PIOTR JANICKI* ● 11

*ADAM KACZANOWSKI* ● 12

*KAMIL KAWALEC* ● 16

*EMILIA KONWERSKA* ● 18

*PATRYK KOSENDA* ● 20

*NATALIA MALEK* ● 22

*SONIA NOWACKA* ● 24

*ALICJA REGIEWICZ* ● 26

*JAKUB SĘCZYK* ● 28

*MARTA SYRWID* ● 30



Byłam zakładniczką cudzych  
wyobrażeń, kiedy szukałam  
dla was (i dla siebie) głosów,  
które ujawnią to, czego akurat  
potrzebujemy.

Być może ci tutaj to nie jedyni  
ludzie, którym przyglądam się  
z zaciekawieniem,  
myśląc jutro jutro jutro już tu jest.

Ale każdy z nich, w sposób  
wyzuwający, sprawdza waszą  
integralność. Wiem, że skrycie  
wierzycie, że zawsze znajdzie się  
ktoś, kto jeszcze zechce ją  
sprawdzić.

*Agnieszka  
Wolny-Hamkało*

# POETRY THERAPY FESTIVAL



*Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, miejsc i zdarzeń jest przypadkowe.*

Przejaśnienie. Powolne wyostrenie rozmytego obrazu.  
Żwir, którego biel kłuje w oczy mimo nisko wiszącego słońca.

Literatura sama w sobie jest nieskończonym świętem.  
Zwłaszcza w mieście Madra, w kraju Flyaros, z jego szorstkim, szmerzącym językiem, doskonałym do splatania wersów, z jego opuncjami i jaszczurkami, palmami i modliszkami.

Ostatnie dni skrzą się od czytanych wierszy, wygłaszanych przemów, połyskują jedzeniem, pićm, rozmowami, wwiercają się w uszy głośną muzyką i drżącym śpiewem. Zabawy trwają do późnej nocy. Wino nieprzerwanym bulgotem opuszcza butelki, trafiają do kieliszków. Jednak błogość w pełnych brzuchach jest złamana ekscytacją, tak jak biel stojących wokół budynków jest złamana porowatością kamienia. Wszystkie drogi, którymi suną myśli, nieuchronnie prowadzą do finału, do Odprawy.

Białe, Iniane ubrania, materiał faluje na delikatnym wietrze.  
Już układają drewno na rytualne ognisko.

Literatura jest bezbrzeżna i otchłanna, jest startem, kresem i uzdrowieniem, jest nieskończona. Ale liczba obsadzonych twórcami stanowisk jest skończona. Starsi poeci, jak mądrzy i uczeni by nie byli, jak rzutcy i zdolni — muszą ustąpić, przestać blokować miejsca. Czy zatem lekceważy się ich w mieście Madra, w kraju Flyaros, czy umniejsza się ich wkład i dziedzictwo, czy modliszki i palmy, jaszczurki i opuncje patrzą na starych poetów z bezbrzeżną pogardą? Wręcz przeciwnie. Łucjusz, świeżo nominowany do międzynarodowej nagrody Akatasta, siedzi na honorowym miejscu, syty i zadowolony jak kocur, krzepki mimo dziewięćdziesięciu wiosen na karku. Mruży oczy, splata palce na brzuchu. Wyczekuje. A wraz z nim kilkadziesiąt osób zebranych wokół, wszystkie zwierzęta, rośliny, wszystkie kamienie budynków.

Zniecierpliwienie nabrzmiewa i puchnie, z nagłą przybiera kształt zgrzytu ostrza raz za razem przesuwanego po osełce. Szlif. Szlif.

Maczeta zanurza się w czaszce starca. Odprawia. Oprawia.  
Literatura jest nieskończonym świętem.

Terkot cykad. Pykanie ogniska. Chrząst kości. Skwierczenie tłuszczu.

Obraz przygasa.

2828



Wiatr zamek otworzył złał wszystko deszcz. Niebo nad domem jest niebem ciężkich chmur suną nad blokami ciągnąc za włosy kaptury przez bruk trawnik plac zabaw zasłaniają gwiazdy i wieszają na latarniach dzieciaki w darmowych skafandrach. Przetrzęsane w pośpiechu przez nerwowe dłonie kieszenie w neonowym świetle pod sklepem są pełne niczego. Resztek z wczoraj. Dzisiaj ktoś został z nikim. Niczym. Klaudii mięknię kolana i drepcze przedeptem wzdłuż drzew uginających się od ciężkich jabłek kilka zgniłych rozgniata butem mija plebanie i widzi w pobliżu rozrzucone między trzema wieżami kościołów (jeden jest tuż obok) bloki swój też. Jak nakręcana lalka idzie w kierunku pomnika (generał) stojącego pośrodku placu porośniętego betonem gdzie ktoś na ścianie czarną farbą napisał *kobieta jest dodatkiem do macicy wódka z rana lepsza niż śmierć czar to chuj zabić cara* i obojętnie kopie spalone znicze. Klaudia mimowolnie rejestruje dobrze znany areał. Retardy na noddach szeleszczą zgiętymi blistrami. Hektor wypatruje ofiary. Mrówki przyszły spirytus. W domu przy rondzie młody wilk rzuca się na ściany potem z jeszcze większym impetem na bramę szczerząc brudne kły między które po chwili ląduje kiełbasa z gwoździami wypchnięta przez pijane dzieci (dobry kawał) (zaraz ale gdzie one się tak zrobiły? pyta równie pijany narrator chyba w dupie sufluje głos z offu ofiary). W mieszkaniu na parterze zza czerwonych begonii w ekranie mocarny wojownik podejmuje się misji eskortowania księżniczki Dżeny w drodze po magiczny róg. Na pewno się uda. Pięknego miłego życia! Organista dorzuca swoje *A nasz panie* odbija od bloków rozrzuconych między trzema wieżami kościołów w których jeden mamy już przecież za sobą! Klaudia chętnie pomaga innym czerpie z tego przyjemność i satysfakcję co przez niektórych jest odczytywane jako chęć poprawienia poczucia własnej wartości. Nic bardziej mylnego. Klaudia doskonale zdaje sobie sprawę ze swych zalet i wad w życiu najważniejsze są dla niej sprawiedliwość i obiektywizm. Uważna skuteczna zanim się czegoś podejmie rozważy wszystkie aspekty sprawy. Jej spojrzenie sprawia że mężczyznom mięknię kolana. Niestety ostatnio jej zmiękły. Niestety pod przymusem. I tu jest błąd gdzie jest. Klaudia wchodzi do klatki i jakby już niczego już nie widzi tylko czuje kieruje się instynktem boli ją poręcz powyginana i zardzewiała boli oderwane pcv i jak sąsiedzi wiszą na klamkach zbliża się do drzwi zza których dochodzi mięso w garze. I kiedy ojciec z krzykiem pociąga wkurwiony za klamkę Klaudia z miejsca sprzedaje kosę nie patrząc jak upada szuka matki stojącej przy garach (i tym razem tam jest) gwałtownie wypycha ją za drzwi przekręcając klucz odkręca gaz i siada na krześle. Ceny węgla w tym czasie są najwyższe od 30 lat. Akcje skarbu państwa szybują w górę. Mieszkańcy ocieplają domy styropianem.

## SZCZUR



Mężczyzna siedzi na wytartym skórzanym fotelu i obserwuje swoją twarz w lustrze. Jest niezdrowa i opuchnięta. To twarz topielca. Może to od wilgoci w piwnicy, do której wprowadził się kilka miesięcy temu, po tym jak wszyscy zaczęli pilniej mu się przyglądać. Kobieta w czarnej sukience staje za nim. W rękę trzyma duże stalowe nożyczki. Urodę ma żałobną.

— Widziałam, że jest coś o panu w dzisiejszej gazecie — mówi z uprzejmym uśmiechem i odcina pukiel stalowych włosów.

— Naprawdę? To dziwne. Zdaje się, że ostatnio nie zrobiłem nic wartego odnotowania.

— Widziałam nazwisko. Proszę sobie poczytać.

Mężczyzna sięga po gazetę, która niezgrabnie załamuje się w jego rękach. Wreszcie na trzeciej stronie znajduje list adresowany do siebie. Jakaś dawna koleżanka pozdrawia go serdecznie, nazywając go jednocześnie podłym chujem. List znajduje się w dziale „Nekrologi” i zakończony jest czułymi uściskami. Mężczyzna o twarzy topielca czuje się nieco zdezorientowany. Wydawało mu się, że nigdy nie miał żadnej koleżanki.

— I co pan na to? — pyta kobieta, nie przerywając strzyżenia.

— Co ja na to? Ja na to nic — odpowiada mężczyzna poirytowany. — Nie boję się ludzi. Mieszkam poniżej poziomu morza. W piwnicy. Wynająłem ją wraz z kilkoma szczurami, ale gnojki nie chcą płacić czynszu. Jestem ze wszystkim sam. Nie da się spaść niżej. Jeśli zrobiłem coś złego, to już dawno odpokutowałem. Zadowolona z odpowiedzi? Wygląda mi pani na osobę żądną sensacji. Typowa fryzjerka. — Kobieta nie wydaje się urażona komentarzem. Strzyże srebrną sierść wokół karku mężczyzny, a grzeczny uśmiech nawet na chwilę nie znika z jej twarzy. — Jeśli chce pani wiedzieć, to byłem w życiu podłym chujem, i to nie raz. Ale moja pozycja w środowisku jest obecnie na tyle znikoma, że nikogo to zupełnie nie interesuje. Ludzie i media gwizdzą na moje talenty przemocowe. Wszystkim, których w życiu gnębiłem, wiedzie się obecnie lepiej ode mnie, dlatego z czystej litości, nie poruszają mojego tematu. Zaszłem się w mojej piwniczce i już nie kłuję ludzi w oczy. Najgorszy jest podły chuj z sukcesem. Takiego piwnicznego szczura jak ja nikt nie będzie tępił. Tylko ta jedna w gazecie, dawna koleżanka jakaś... Nie wiem, o kogo może chodzić. Nigdy nie miałem żadnych koleżanek. Unikałem ich jak ognia. Chwila nieuwagi i koleżanka zabiera ci pół talerza, pół łóżka i pół życia. To nie dla mnie. A pani co?



— Ja nie byłam w życiu podłym chujem, jeśli o to pan pyta.

— Pewnie. Święta. Jak wszystkie. Nie przypominam sobie żadnej koleżanki. Pewnie to jedna z tych, które potrzebują ukazać się w druku. Nawet nie poznałbym jej na ulicy. Nie zaśmieciam sobie głowy rysami nieistotnych dla mnie ludzi. Pamięć to zbyt cenna rzecz, zwłaszcza w moim wieku.

— Też bardzo cenię swoją pamięć.

— Czemu? Pani jest fryzjerką. To jest mechaniczne zajęcie. Można by wyjąć pani jedną półkulę mózgu bez straty dla mojej fryzury. — Mężczyzna chichocze zadowolony ze swojego dowcipu, a kobieta obdarza go kulturalnym uśmiechem.

— Co robimy z wąsami? Tniemy?

— Nie, wąsy zostawiamy. Bez nich zupełnie bym się pogubił. — Mężczyzna milczy przez chwilę, po czym mruczy do siebie smutny: — Patrzę w lustro i widzę topielca. Miałem nadzieję, że ta wizyta coś zmieni, ale zawiodłem się.

— Możliwe, że nie zdążył pan w porę uciec z pokładu.

— Nie rozumiem.

— Gdy komuś grozi podtopienie, nie powinien zaszywać się w piwnicy, tylko kierować się w stronę nieba.

— Co to za ludowe mądrości? Proszę lepiej zająć się stryżeniem. A zresztą mam tego dość. Chciałbym zapłacić.

— Oczywiście. Może pan zapłacić — odpowiada kobieta bez złości. Odcina ostatni pukiel włosów, który upada na posadzkę z głuchym łaskotem. Mężczyzna dziwi się nagłemu hałasowi. Chce spojrzeć za ramię, ale nie potrafi się poruszyć. Patrzy zaskoczony w miejsce, gdzie powinno być lustro, i widzi tylko nieskończony granatowy sufit z miliardami obskurnych, migoczących lamp.



# BERNARDINO



8.30, do pokoju wjeżdża mi policja i opierdala za szlafmycę i zatyczki do uszu, cztery osoby w gumowych rękawiczkach i bronią na biodrze. Jakiś wieprz pyta mnie, czy nazywam się Bernardino. Nie nazywam się Bernardino, nazywam się, kurwa, Ficnerski, i w ogóle jak tu weszliście, wieprze teutońskie, niemyte. Wyłamaliśmy zamek w drzwiach, bo te zatyczki, i mamy nakaz przeszukania, bo oszustwo, na pewno nie jesteś Bernardino?

Bernardino to mój współlokator.

# ŻYCIE: INSTRUKCJA OBSŁUGI



## 1.

Na pewno w życiu ważne jest ubezpieczenie zdrowotne. Kiedy poszukiwałem domowych sposobów na wyrwanie gnijącego mi w jamie ustnej zęba, niczego nie znalazłem. Na nic się zdały sztuczki z nitką i klamką, na nic dobrze zdezynfekowane kleszcze z tatowej piwnicy. Wyszedł już człowiek z mleczaka, wypędzono cię, biedny stracony chłopcze, z cielęcia.

No więc żeby wyrwać takiego bolącego i gnijącego zęba, potrzeba albo niemałej kwoty, albo ubezpieczenia zdrowotnego. Mnie akurat zdarzyło się zapożyczyć, poprosić bliską osobę o wymaganą sumkę, którą to sumkę musiałem wcześniej dobrze oszacować, żeby potem, przy recepcji gabinetu, nie świecić z biedy oczami. Potem już wszystko szło gładko, żadnych kolejek, musiałem tylko dwa razy porozmawiać z jedną panią przez telefon i pyk — już byłem na fotelu u stomatologa.

Pacjent po zabiegu może cierpieć na szczękościsk oraz ograniczoną możliwość otwierania ust, jednak te dolegliwości powinny minąć samoistnie. Należy też przyznać się do cukrzycy, wrodzonych wad serca, chorób wątroby albo wszelkich chorób zakaźnych typu HIV, HCV, HBV.

Za pomocą narzędzi chirurgicznych zrywa się więzadło okrężne otaczające ząb. Następnie korzystając z kleszczy, doprowadza do jego zwichnięcia, dzięki czemu można ząb rozchwiać, oddzielając go od kości szczęki. Do każdego zęba zostały przyporządkowane odpowiednie ruchy, dzięki którym rozrywają się włókna ozębnej, a ząb oddziela się od kości. Ostatnim krokiem jest zdecydowane wyjęcie zęba z zębodołu. Bardzo ważne jest dokładne oczyszczenie zębodołu z pozostałości zęba oraz fragmentów kości ze stanem zapalnym (jeśli są).

Po tym wszystkim, pomiędzy jednym zębem a drugim zębem, zostaje taka ziejąca dziura, pustka. I ona przypomina ci o śmierci.





## 2.

Spotkałem ostatnio kolesia, który uważa się za autora instrukcji obsługi *Szklanej pułapki*. Ale tylko pierwszej części, tak mówił. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, mu powiedziałem, a on, że w pewnym momencie niektórzy słyszeli. No i fajnie, to opowiadaj, mu odpowiedziałem, i było to mniej więcej tak:

*Szklana pułapka* jest o tym, że Bruce Willis biegnie, bo kocha.

Budynek-filizanka rośnie do nieba. Wszystko ze szkła. A ile jest tam piętér? Na samo oko ponad sto. I z jaką częstotliwością eksplodują szyby? Ten mój koleżka robił pomiary i wyszło mu tak: szyba wybucha, a potem rozpryskuje wszędzie szkło, średnio co dziesięć sekund. A ile to wszystko trwa? Akcja ze szkłem około stu jedenastu minut. Więc teraz sobie to pomnóżcie. No właśnie.

Holly Gennero McClane, Holly Gennero McClane, dlaczego do diaska jesteś tak wykurwiście piękna i dobra!

Zabijają go tam, Bruce'a Willisa. A on wstaje i ucieka, drobiąc po szkle. I tak w kółko: zabijają go, a on ucieka. I przez większość filmu to on bardziej drobi niż biega, a na pewno nie lata, co to, to nie on, ale o tym później.

W pytę ważne jest to, że on tam, w całym tym szkle, jest na bosaka, bo w pierwszej albo drugiej scenie ostantacyjnie ściąga buty. A więc biegnie, a w zasadzie drobi, na bosaka, bo kocha.

Ten mój koleżka miał to wszystko rozrysowane, on ten film naprawdę dobrze przemyślał. Żył tym.

Kiedy Bruce wyskakuje ze *Szklanej pułapki* i zawisa na chwilę w powietrzu, to jest taki specyficzny, upierdliwy wręcz i śwędzący moment. Wtedy spacja, chuj, nowa czasowość — zatrzymujemy obraz. Bo w zasadzie to ten kadr, to on jest skonstruowany tak, żeby trwał wieczność. Nie ma wtedy Bruce'a, bo tak jakby go nie widać, rozmazany jest w geometryzującego paprocha. Za nim imponująca eksplozja. Majestatyczna architektura obraca się w perzynę i wszystko jest takie wyraźne, jasne, piękne.

*Szklana pułapka* kończy się tak, że miłość stabilizuje świat. Jasne, że wszędzie jest szkło, ale przecież można zmienić planszę. Idą pod rękę, po swoim prywatnym królestwie miłości. Holly Gennero McClane i Bruce Willis. A ty, myślisz, zapytał mnie ten koleżka, czym jest miłość i co to kochać?

## 3.

Te dwa przeżycia pozwoliły mi zrozumieć kilka rzeczy.

Po pierwsze, z wykrzyknikiem: nie należy zbyt ufać swoim uczuciom!

Po drugie, już bez wykrzyknika, pysznie jest czasami z kimś porozmawiać.

Po trzecie: pyszniej pospekulować w samotni. Na przykład o tej śmierci czy różnych, czyhających na człowieka pułapkach. Poeta pisał, że nie jest sobie w stanie wyobrazić kogoś, kto byłby sobie w stanie wyobrazić. Pojebane. Pisał niby o starości, ale on ma to do siebie, że jak pisze, to światy mu pęcznieją, wybebeszają się i gra dziwna gitara. Na przykład kwestia unieruchomienia mi się tam u niego wyświetla, strasznie frapujące. Ileż ja w swoim krótkim życiu widziałem unieruchomionych w taki lub sraki sposób ludzi! Nie mówiąc już o unieruchomionych zwierzętach albo wszystkich tych dziwnych momentach w historii świata, które są o unieruchomieniu, a których jeszcze nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Pojebane! Warto jest się zainteresować literaturą, to na pewno.

# APOKALIPSA GORĄCA



- nie chcesz się zamienić miejscami?  
— nie co za różnica?
- jeśli bez różnicy to dlaczego nie? zachce mi się siku i będę musiała iść przez ciebie poza tym jutro przesunę łóżko na prawo  
— daj spokój po co?
- widzę jak w nocy podnoszę łeb i przywalam czachą w skrzydło a myśl ta niespecjalnie pomaga zasnąć  
— dobra idę na twoją stronę kładziesz się wreszcie czy będziesz dalej biegać w tę i we w tę?
- wezmę tylko butelkę z wodą 23 stopnie w nocy w górach ale kosmos... i krem nałożę na stopy posmarować ci?  
— nie i widzę że nie śpisz na tej zajebistej poduszce którą wiozłem 1500 kilometrów specjalnie dla ciebie
- spadła na ziemię pod hotelem  
— komu?
- nieważne komu leżała na ziemi. nie lubię kiedy jestem goła i dotyka mnie ziemia czemu nie smarować?  
— przyzwyczaję się jak ty i nie będę mógł zasnąć bez — żadnych nowych nawyków
- smaruję tylko kiedy jest gorąco poza tym każdy ma swoje pierdolnięcia  
— już?
- tylko zmoczę poszewkę z twojej strony też?  
— jezu NIE!
- albo poleję szmatkę zimną wodą i położę na stopy masz jakiś kawałek szmatki?  
— możesz wziąć mój ręcznik naprawdę nie przeszkadza mi kiedy okładasz się mokrymi szmatami na dobranoc ale ja dziękuję — wystarczy że zacząłem słuchać podcastów i nie potrafię już zasnąć — jeden nawyk wystarczy
- i co teraz?  
— włączę chwedeńczuka na 15 minut
- dlaczego na 15?  
— bo zasypiam po 3
- jak mój mózg się zorientuje że coś się zaraz skończy to skupi się na czasie i dupa ze spania. puść całego  
— jutro obrócimy łóżko przodem do okna tak żeby patrzeć na szczyty i niebo zasypiając
- dziwne masz chłodniejszy tyłek niż ja jak ty to robisz pokaż stopę  
— JAK TO POKAŻ STOPE? jest pierwsza w nocy!
- a ci dwaj starszuskowie których spotkaliśmy którzy schodzili asfaltówką z góry myślisz że po co mieli przy sobie siekierę? i dlaczego potem mijaliśmy grubasa ubranego w czarną koszulę i czarne krótkie spodnie z dwiema ciężkimi wypchanymi reklamówkami w rękach wyglądał jak ksiądz nie sądzisz? tam jest tylko Tul przecież w Tul nikt już nie mieszka

## SUSHI



Chociaż przywabiają mnie praprzystawki i możliwość, że coś było przed, jakaś na przykład namiętna modlitwa, albo bodaj utracona dźwięczność nieokreślonego przedimka, to nie, nie przewróciłem się ani nie przewaliłem. Raczej po prostu zostałem pochwycony; i nie za nogi, za głowę, pod ramiona; również nie za tornister ani za żadną z podobnych rzeczy, żadne ze wspomnień czy wyobrażeń. Coś mnie chwyciło i szarpnęło mną i moją aurą czy kirlianowskim otokiem (do głowy by mi nie przyszło, że w zdarzenie to zaangażowany może być przenikający mnie duch, a zatem) jak pomidorem w lidlowskiej torbie, leżącym między innymi zakupami, kiedy torba przechyla się, może przelamuje, zakupami wstrząsa i choć otoczenie pomidora — zakupy — pozostaje to samo, to w postaci jakby nowo dostrzeżonej, bo potem nie wstałem, nie poderwałem się z kolan, nie siadałem i nie łąpałem równowagi, tylko właśnie jak ten pomidor: byłem wciąż, a zewsząd spadały płaty śniegu, spadały i unosiły się, krążyły, zastąpiły coś przede mną, tylko nie mogłem dostrzec, co...

Jak by to powiedzieć — drzwi portierą były zasłonione.

Dopiero z czasem śnieg nieco zelżał i ujrzałem niewyraźny obraz drzewa po lewej stronie.

Znów to drzewo i znów po lewej.

Czy to to samo drzewo.

Czy to jedyné drzewo. Zrazu paraliżujące doznanie, ale i potem, po ochłonięciu (nic mi się nie zgadzało, a zrewidowałem problem jak dom w poszukiwaniu łyżki do butów; pasowało mi tylko jakieś okrążanie drzewa, albo bycie okrążanym przez drzewo), powracało, a do niego wkrótce dołączyło pytanie, czy przypadkiem nie przydarza mi się jakiś stary problem, dawno temu rozwiązany przez psychologię, filozofię, a przede wszystkim przez magię. Koniec końców magia wydała mi się najponętniejszą, ale i najpewniejszą metodą poznania. Drzewo, i wtem nie tylko pojąłem działanie tej sztuczki, ale i to, że ją współfunduję, świadczę za jej powodzenie, pomyślność.

To nie to samo, co pomyśleć, pomylić szum samochodów z dźwiękami wydawanymi przez ptaki. I nie to samo, co pochylić grzbiet nad polem kwitnących ziemniaków, jeśli się ich nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie widziało. To coś może podobnego do dźwięku piły, albo dźwięku piły robiącej coś, powiedzmy, że trącej o krawędź deski. Powiedzmy, że człowiek przygląda się całemu istnieniu i z wolna dostrzega na nim powłokę, a na powłoce wyświetla mu się charyzmatyczny akt, akt dźwigania w głowie zrobionej z czaszki nie samego sensu, a opatrnościowego oka, więc dłoń widoczna na powłoce po drugiej stronie istnienia zaczyna poruszać kulą ot tak, po prostu, a te ruchy świdruje mniej lub bardziej wtajemniczone oko, ale krokiem jednoczesnym.

Zdarzenie to miało miejsce kilka lat temu, kiedy w pracy zrobiono mi kąpiel w pokoju kolegi. Przyjęto mnie bardzo serdecznie, ale czegoś byłem zamyślony, więc kiedy drugi kolega podarował mi kilka przedmiotów, między innymi śnieżną kulę, a nagle wszyscy gdzieś zniknęli, to wziąłem kulę do ręki i zacząłem się nią bawić.

# PIERWSZY GOŁĄBEK POKOJU



Dwulatka spała w wózku spacerowym, ale zsunęła się z niego jakoś i wylądowała w piasku. Jej tata zerwał się z leżaka, odłożył małą do wózka, ale ta, przebudzona, a niewyspana, wściekła się, naprężyła ciało i zjechała znowu. Podniósł ją i zaczął lulać. Dziewczynka była naprawdę wkurzona. Niby kładła grzecznie główkę na ramieniu ojca, ale po chwili, porytowana tym, że nie może zasnąć, napinała się cała, odpychała kolanami od taty tak, że ledwo mógł ją utrzymać. Dziadek zerwał się z leżaka, zaczął coś do niej mówić uspokajającego, ale tylko wkurzył syna. Próbował podać jej poduszkę, znów naprężyła się wściekła, odepchnęła ją. W końcu dziadek złapał gołębia spacerującego między leżakami w poszukiwaniu okruchów chipsów. Gołąb szarpał się, więc dziadek ukręcił mu łepkę i takiego podał małej. Uspokoili się i zasnęli w sekundę.

*Salou, 24.08.2022*

# DRUGI GOŁĄBEK POKOJU



Karol szedł plażą i wyobrażał sobie, że rzuca kamieniami, takimi naprawdę dużymi, wielkimi jak pięść, w opalających się facetów. Zaczął nawet je podnosić, zbierał kilka. W myślach trafił jednego w szczękę. Drugiego chociażby trafić w czoło, ale wyobraził sobie, że nie trafia, że kamień odbija się od brzucha tego wytatuowanego dziada. Zauważył chłopców, ustawiających wieże z kamieni. Kucnął obok i spróbował ustawić wieżę ze swoich. Nie wychodziło mu to zupełnie, wieża co chwilę się przewracała. Podeszedł do niego gołąb szukający na plaży okruchów chipsów. Karol złapał go i skrzył mu kark. Chłopcy obok spojrzeli na niego z respektem.

*Salou, 24.08.2022*



# TRZECI GOŁĄ- BEK POKOJU



Gorący piasek parzył Krystiana w stopy. Uciekł na ścieżkę ułożoną z desek. Pomyślał o drzazgach, ale wołał już drzazgi. Ścieżkę zastawili jednak dorośli faceci odbijający paletkami piłkę. Krystian znowu musiał wejść na parzący piasek. Zobaczył pod nogami martwego gołębia. Kopnął go. Ptak poleciał kilka metrów.

*Salou, 24.08.2022*

# WKURZONA KATARZYNA



Dreptała deptakiem w klapkach. Bardzo lubiła te klapki, ale zdenerwowała ją mama, która szła za szybko. Wkurzona Katarzyna machnęła nogą. Klapek poleciał wysoko, trafiając w twarz mężczyzny jadącego z naprzeciwka na wózku inwalidzkim. Inwalida miał koszulkę z napisem Iron Maiden.

*Salou, 24.08.2022*



# KATALOŃSKIE PIRAMIDY



Skończyli już jeść śniadanie, ale rodzice ustawili się jeszcze w długiej kolejce po kawę. Dzieci zostały przy dwóch, połączonych ze sobą stolikach. Kelner sprzątał w innym kącie sali, więc dzieciaki wymyśliły, że mu pomogą. Masa gości hotelowych szukała miejsca dla siebie, wszystko było pozajmowane, trzeba było szybko posprzątać. Ustawili duże talerze jeden na drugim. Trochę krzywo, bo było na nich sporo resztek. Na dużych talerzach ułożyły mniejsze, na nich postawiły spodki od filiżanek, a na szczycie wylądowały miseczki po płatkach. Do miseczki na szczycie wrzuciły sztucce i przykryły to wszystkim brudnymi serwetkami. Tylko na szklanki nie znalazły miejsca, więc odstawiły je na inny stolik. Rodzice nie zdążyli wrócić, by podziwiać wysokość piramidy, bo prędkiej zjawiał się kelner. Chwytał wszystko od dołu. Konstrukcja runęła na podłogę w trakcie przekładania na wózek. Mężczyzna w geście rozpaczki kopnął stłuczoną miskę, a ta, lecąc przez salę, trafiła w kolano mamę idącą z kawą. Widząc to, tata chlusnął w kelnera swoim gorącym americano i poszedł ustawić się z powrotem w kolejce do ekspresu. Dzieci były już przy innym stoliku, opuszczonym właśnie przez inną rodzinę. Ustawili już duże talerze na sobie. Postanowiły obkroczyć tak całą salę. Tymczasem dwóch kelnerów podbiegło do kolegi, pomóc mu sprzątać potłuczone naczynia z podłogi.

*Salou, 29.08.2022*



# CHWILA CISZY



Dzieciak wpadł w histerię, wył i nie chciał przestać. Samo podniesienie go i spacerowanie dwa kroki w jedną, dwa kroki w drugą po balkonie nic nie dawało. Mężczyzna miał na takie sytuacje tylko jedną sztuczkę. Złapał chłopca za tydki i wystawił za barierkę. Dzieciak jednak nie przestał wycić, a właściwie zaczął drzeć się jeszcze głośniejsze. Kobieta wyszła do nich, chciała jakoś pomóc go uspokoić. Zaczęła gilgotać mężczyznę pod pachami i po bokach, gdzie miał największe gilgotki — pomyślała, że jego głośny, zaraźliwy śmiech rozładuje sytuację. Mężczyzna naprawdę nienawidził gilgotek, właśnie tam, po bokach. Łzy napłynęły mu do oczu z tego wszystkiego. Dzieciak wciąż się darł. Kobieta śmiała. Mężczyzna nie wytrzymał. No i nastąpiła chwila ciszy.

*Salou, 29.08.2022*

# PRZYKŁAD Z GÓRY



Wracali z plaży. Jego syn włókł się niemiłosiernie i ociągał, o coś obrażony. Mężczyzna nagle zobaczył dzieciaka spadającego z balkonu z czwartego piętra. Pociągnął szybko syna za sobą. Podbiegli do miejsca, gdzie dziecko leżało. Tak to się właśnie kończy — powiedział ojciec do syna.

*Salou, 29.08.2022*



# ZONK, ŻYŁKA I HACZYK



Kolejka jak do klubu, a ja jestem nad brzegiem rzeki.  
Motorówki mijają się z dużą prędkością.  
Kręci się kula dyskotekowa w najbliższym  
beach barze.  
Piasek, żółciutki, ciepłutki piasek!

Rybak, myśliwy i żul podchodzą do baru. Pierwszy pyta  
o wodę, drugi o lufę,  
a trzeci ucieka z dywanem na plecach. Wbiega po stromym zboczu  
wału i nurkuje  
w zaroślach.

To chyba całkiem urocze.  
Chcę zrobić zdjęcia do „Czasu Wędkarza”.  
Rozglądam się łapczywie.  
— Aaa, coś mnie oślepiło!

Wykręcone, twarde zwłoki. Martwe,  
rybie oko,  
w którym odbiła się błystka wbita  
w stopę wędkarza.

Zonk.  
Żyłka i haczyki poplątane w szuwarach.  
Zanęta rozrzucona po trawie.  
Wszędzie pełno łusek tworzy  
makabryczną pajęczynę śmieci.

Zapach sinicy i zbutwiałego drewna  
na pewno nie będą moim nowym zapachem.

Piasek, żółciutki, ciepłutki... kurwa.  
Chce mi się płakać.





Myślę o tym, jak zmyć z siebie odór, a woda jest gęsto pokryta rzęsą i niewyrośniętym narybkiem. Bajeczny sznur papierowych kormoranów, skąpanych w odbitym świetle kuli dyskotekowej, powiewa w rytmie jungle/acid/drumu.

Ryby się płoszą.

Woda jest ciemna, szeroka i pozwala minąć się trzem bar-  
kom w linii prostej.  
W takich warunkach lepiej wrzucić wędki na pakę i zawijka na Basztę. Tam zawsze jest co robić, z kim nawiązać harpunów do rzucania. Zawsze też można potrenować strzelanie z wiatrówki do sadzawki pełnej uklei.

Na miejscu zdarzenia zbierają się  
ludzie.

Cisza.  
Kilku ochotników stara się zabezpieczyć miejsce, aż do przyjazdu policji.

Znów chce mi się płakać, ale i rzygać.  
Wszędzie skaczą koniki polne.  
Walają się kromki chleba wyrócone  
smalcem do ziemi.  
Muchy urządziły tu sobie  
bzykando.

Bzyczą żarłocznie i triumfalnie.

Nad ciałem unosi się szmer rozmowy. Podobno lokalne koło wędkarskie od lat jest wplątane w konflikt z...

Nagle dostrzegam wiaderko przy nosie rybaka.  
Ze środka wali flakami.  
Wystaje gruba drzazga z niewyraźnie nabita  
pieczętką.  
Flisacki znak związkowy!

Wołam:  
— Patrzcie, gruba drzazga w wiadrze z przestrzelonym  
śrutem! A tam, pieczętką z eeAaaa...

Ktoś podbiegł do mnie zza wału, chwycił za ramię i widzę, że  
zaraz coś powie,  
ale nie. Popatrzył tylko i pokazał parę dziwnych gestów palcami.  
Takim tonem, którego naprawdę nie chcę nikomu powtarzać.



# PROSTO, A POTEM CAŁY CZAS W LEWO



*coś mi się stało w kręgosłup.*

## I

to chyba dobrze nie znać swojego miejsca, powiedziałam do rusłana. a on zapytał, czemu pani nie zamknęła drzwi. właśnie czemu, powiedział, a nie dlaczego, i myślę, że zrobił to specjalnie. ja poprosiłam, żeby jechał prosto, a potem w lewo, i opowiadałam mu o innych kierowcach ubera, o obcych ludziach, których nie znał. imiona zmieniałam, chociaż nie istnieli naprawdę. pewnego dnia uznałam, że opowiadanie o wymyślonych ludziach, o ich życiu rodzinnym i gustach jest najlepszą formą komunikacji. czasem wkładałam w ich usta kwestie, które chciałam od kogoś usłyszeć. że z taką twarzą na pewno ma pani wielu narzeczonych. najczęściej wymyślałam jednak rozmowy o wypadkach, rodzinnych tragediach (komuś umarło dziecko) albo jedzeniu. najłatwiej rozmawia się o jedzeniu, bo w tym obszarze ciągle pojawiają się nowości. jeszcze nie zdążyłam się nagađać o ser dogu, a już pojawił się keb dog. naprawdę ciężko znaleźć kogoś, kto nie chce o tym rozmawiać. najczęściej o jedzeniu rozmawiają intelektualiści w średnim wieku, bo mają już trochę pieniędzy, a w ich życiu brakuje przygód. te rozmowy są jednak dla mnie niedostępne, bo, jak mówiłam, jestem uboga, a oni mówią zazwyczaj o norweskich śledziach i daniach, których nazw nie umiem powtórzyć. to najprawdopodobniej dania hiszpańskie oraz węgierskie. pewien człowiek, z którym jechałam windą, zjadał tylko węgorki, które złowił własnoręcznie gołymi rękami. drugim tematem, który dobrze jest poruszać, są choroby i tragedie. tu nie muszę zmyślać, bo jestem, jak już mówiłam, prawie kaleką, mam też dużo doświadczeń z polską służbą zdrowia. ale jak mam wyjątkowo dobry nastrój, to opuszczam znane mi z doświadczenia rejony niesprawnej cieleśności i mówię, że jechałam kiedyś pociągiem z panem, który miał trójkę dzieci z wodogłowiem. i wtedy się zaczyna. w świecie zdrowia też pojawiają się ciekawe nowinki, które mogą posłużyć za temat rozmów. w ostatnich tygodniach moje ulubione tematy z zakresu medycyny to powięź i zaburzenie integracji sensorycznej.

*no więc tego dnia to była akurat niedziela i jechałam na żużel.*



## II

wśród żuźlowców jest największy odsetek samobójstw. postanowiłam ich zobaczyć, bo są młodzi i na początku wyścigu muszą rozpychać się łokciami. dla osoby takiej jak ja, dla ludzi takich jak my, nie ma nic ciekawszego. a potem popełniają masowo samobójstwa, chociaż są młodzi. słyszałam od pewnego człowieka poznanego na przystanku, że powodem jest uszkodzenie kręgosłupa w odcinku szyjnym. nieprawidłowo ustawiony kręgi blokuje dopływ serotoniny do krwi. pojawia się melancholia, obniżony nastrój, natręctwa myślowe. nie jest to jeszcze do końca zbadane, ale tak właśnie się dzieje. przed tymi młodymi chłopakami kariera stoi otworem, ale potem coś się zmienia. okazuje się, że przegrywają już na starcie i nikt na nich nie czeka. może zawsze tak było? tylko przez chwilę im się wydawało, że jest inaczej? wydawało się, bo hałas i nic nie widać, nie można też skrócić w innym kierunku niż ten wcześniej zaplanowany. podobnie mają skoczkowie narciarscy. ponoć widok horyzontu z perspektywy skoczni dokonuje ogromnych zmian w mózgu. neurologzy cały czas badają wpływ widoku horyzontu na psychikę człowieka. wszyscy dobrze znamy historie marynarzy, którzy postradali zmysły. najgorsze są momenty czekania, uwięzienia na statku, kiedy ten morski horyzont staje się z jednej strony wszechobecny, a zarazem niedostępny. w tym stanie widać typowe objawy uzależnienia. to powoduje, że uważam, że żuźlowcy, skoczkowie narciarscy i marynarze żeglugi morskiej to tak naprawdę jedna osoba.

*i właśnie wtedy ruszał skręcić w prawo i spowodował wypadek. coś mi pękło. słyszałam ten dźwięk. i wydaje mi się, że zrobił to specjalnie.*



# PIES MI MORDEĘ LIZAŁ



Wszystko zaczyna się od maratonu filmów z Robertem Gonerą. Lekko zgimnowany próbuję nadażyć za Długiem, kiedy ołtopiec o borgesowskiej twarzy Jessego Eisenberga pac! mnie w twarz bułką z bananem, wyznając:

- Sorry, źle na mnie działają horrory.
- Lata mijają i ciągle trwa na świecie dziecinna zabawa we wzajemne przekrzykiwania się, kto jest król, a kto chuj.
- Sorry, nie szukam problemów.
- No to po co sikałeś do fosy?
- Przepraszam, ja już muszę iść.

I poszedł. Wybiegam za nim na siłą od chuj wie czego klatkę i huczę błagalnie:

- WEŹ SIĘ PARAJ, JA JUŻ NIE MAM SIŁY!

Odkąd opuściłem zamek nie-tak-pomysłowych Dobromirów i zacząłem żyć jako Bezpasiakowy, to czasem myślę, że żyć znaczy: toczyć badylem oponę smukłą jak gambit debila. Ale żyć jako Bezpasiakowy znaczy: zaszyć się w drewnitni z kratą kremowego piwa. Wracam do pokoiku. Robert Gonera na samowolce, to się musi skończyć źle. Rozglądam się, bo musimy być pogodni i sympatyczni, musimy dużo rozmawiać. Na pluszowym fotelu siedzi rozpiardolony jak jakiś diuk chuj wie czego Profeta Bakał Gibszczur:

- Obyś żył na wczasach, w tych górskich lasach.
- Wiesz co, widziałem raz faceta, który zjadł papierosa widelcem, ale miało to swój cel.

I tak to się żyje w pokoiku. Robert Gonera całuje Mostowiakównę. Odwracam głowę i wyśmiewam z siebie mrok, który wtarosił we mnie prześliczny taksydemista wpatrzony podczas roboty w tego debila z reklamy „mam plan wykonam go sam niskie rrsro dostałem w mordę sobie nasrałem”. Spokojna przystań, żart z kałem.



Prześladuje mnie kilka myśli:

1. Typ, co biegł pierwszy w życiu maraton spod Maratonu — co, jeśli miał tylko komuś przekazać nabazgranego, starożytnego dickpicka?
2. Ludzie markujący traumy, na przykład Dede Reporter, że niby boi się zup. Po co to?
3. Być może lamentuję jak wdowa po papieżu, ale czemu ten demon tak szczerze mnie kocha?
4. Kiedy spoglądasz w Pysznię, ona również ma wypierdolone.

W pokoiku Despero Dorociński, wbija elegancko na maraton Gonery. Tak, panie władzo. Widziałem Roberta, poszedł na samowolkę, to się musiało skończyć źle. Nie, panie władzo, nie jestem zjarany jak sam skurwysyn, a jednocześnie pasierb stróża w Boże Ciało. Słuchaj, Despero, mam swoje za uszami, ale to nie pora, żebyś bawił się w wielkiego Pana Śledzionkę. To pora, żebyś poszedł sobie gdzieś indziej uskutecznić te pierdoły, to jest porządny pokoik porządnym chłopaków i psa Rabana Kosibki.

I poszedł. Wybiegam za nim na burą od chuj wie czego klatkę i huczę błagalnie:

— ZAPUKAJ DO DJA HAZELA I POCAŁUJ GO W BIAŁE!

Na ekranie Spizganie owiec, Robert Gonera jako pastuch-android, acoja: Rębajło, Strachajło i Wykidajło wchodzi do baru, w którym na co dzień pracuje Wykidajło jako wykidajło, który choć dzisiaj ma wolne, to zaprosił resztę ekipy Ajłów do swojego miejsca pracy, bo w żadnym innym miejscu nie czuje się tak swobodnie: ani na cokole, ani na baszcie, ani w domu, ani w klubie kombatanta:

— Służyłeś? — zerka na tatuaż.

— Nie, a ty? — zerka na tatuaż.

— Też nie.

Podchodzi Raban i liże mi mordę, leci piękna telewizja, łoimy Koźme Jasne Drażce. Mówię wam, czasem to chciałbym się zesrać z miłości.



## CUKIERNIA



To był szczęśliwy dzień Pavla. Powietrze pachniało paloną wołowiną. Zapach, jakby ktoś przysłał mu pocztówkę z dzieciństwa.

Przeniósł się w okolice kopca niedawno, ale zdołał zauważyć, że z parku każdego dnia dochodzą inne dźwięki. W czwartek było słychać grupę robiącą wyścigi w liściach. Ludzie-psy. Pavel nie umiał oszacować wieku, wydawali mu się młodzi, bo charczeli i rozkopywali liście.

W poniedziałek zjawily się kobiety. Rozgrzewaly się. Instruktor ka zachęcała je, by kręciły biodrami. Kurtka z goreteksu unosiła się jej na brzuchu.

— *Płynniej, mocniej! Okręgi, pełne okręgi! Wyobraźcie sobie cztery punkty, których dosięgacie kolcami biodrowymi. Niewidzialne punkty w przestrzeni!*

Pavel patrzył na kobiety z ukrycia, ale przeniosły się w dół kopca. Wyszedł z wnęki spiżarnianej zasłoniętej toyotą, a od strony parkowego uskoku krzakami róży, i postanowił uczcić ten dzień, choć nic specjalnego się nie wydarzyło.

Był daleko od żony. To jednocześnie cieszyło go i martwiło. Janka chętnie dodawała mu kielbasy do śniadania. Pod tym względem brak Janki był bolesny. Widziała go jednak w tak wielu sytuacjach, że możliwość niespotkania jej wzroku na korytarzu czy w łazience była przyjemna. Mógł nie myć się przez kilka dni, nie nosić śmieci, nie kłaść spać *przedwcześnie*.

Pavel postanowił nie zajmować się Janką świątecznego dnia, sam dodać kielbasy do śniadania i napisać coś, co roboczo nazwał *Rysunkową historią mojego kraju*. Z czasem planował poszerzyć serię, aż do *Rysunkowej historii wszystkich krajów*, spieniężyć dzieło, najlepiej jako scenariusz filmowy, i razem z Janką wynieść się za miasto. Miał 51 lat.

Na wtorek zaplanował ugotowanie zupy w największym garze. Na kilku rodzajach mięsa, zawieszistej, *węgierskiej*. Wstał najwcześniej, jak umiał, i wziął się za przygotowania. Park stał jeszcze we mgle, słychać było wózek listonosza i jego przekleństwa, liście wkręcały się w kółka.



— *Co za ochujała robota! Chuj, a nie robota! Na chuj ja tu w ogóle leżę, na tę górę!*

Listonosz minął kuchnię, w której schował się Pavel, i doczłapał do budynku administracji. Zupy wyszło ponad pięć litrów. Dużo jedzenia. Niech stoi na zgaszonym palniku.

Po południu wyszedł się przewietrzyć. Takie słowo wybrał, by nazwać to, co robi. Słowo pachniało Janką. Janką, która wróciła z przychodni, gdzie przeczytała coś o krwi.

Poszedł inną drogą niż zwykle, nie przez kładkę obok przekopów z niebieskimi rurami, a koło zapuszczonej pizzerii. Dwie wyższe ławy robiły za stoły, a cztery niższe, okalające, za siedziska. Drewno ściemniało od deszczu. Za pizzerią rozciągał się kawałek nieuprawianych ogródków działkowych.

A potem zaczynały się wille.

Za willami zaczynało się już chyba miasto. Kończył się kopiec i jeździły niebieskie autobusy. Pavel wypatrzył pustą cukiernię. Wiedział, że ma nadwagę, to było słowo z przychodni, nie jego i nie Janki. Wieczorami puchły mu nogi.

W cukierni uderzył go zapach chlorowanej wody. Nie był głodny ani nie ssał go w żołądku na coś słodkiego, chlor drażnił nozdrza, ale podszedł do lady chłodniczej i zaczął podziwiać przygotowane kostki ciasta.

Agacie nie wydawało się, by ubrudzony na brodzie Pavel kupił jakiegokolwiek ciastko, ale śledziła jego wzrok, trochę z przyzwyczajenia, a trochę dlatego, że przypominał jej dawnego kochanka.

— *Te tutaj to orzechowe. Jest sezon.*

Kochanek Agaty miał w sobie niemiejską powolność. Śmiał się do środka, aż się zapadał. Kiedy przychodziła do zawałonego mieszkania na szóstym piętrze, gotował coś, co budziło skojarzenia ze słowami *fenkuł* albo *flambirować*. Nie wiedziała, co dokładnie znaczą, ale lubiła to zapuszczone mieszkanie, dziwaczną wykwintność zmieszaną ze smrodem klatki schodowej i swoje odbicie w wypukłości plafonu, gdy leżała na wąskim łóżku, a on człapał w stronę kuchenki gazowej.

— Zamykam za dziesięć minut. Chcesz się potem przejść?



## TECHNO/WIKSA



Wywaliłam na siebie szkatułę brokatu i poszłam do reszty. Pod zakładem pogrzebowym z mrugającym ekranem TECHNO/WIKSA CZYNNIE CAŁĄ DOBĘ, wpadnij, JESTEŚMY OTWARCI DLA CIEBIE 24/7, stoi kolejka długa jak neon.

— O boże, jakie to jest przykre, że już nawet deszcz nam zatruli — powiedziała martwa, sprawdzając godzinę na telefonie. — I kto za to odpowie, pani Krysiu, no nikt nie odpowie — wcina się typek w kaszkiecie. Wszyscy napili się wody z deszczu i teraz są martwi.

Z plusów całej sytuacji, zmniejszyły się kolejki do NFZ, ale wydłużyły te do wiksa-pogrzebów. Teraz wszyscy chcą mieć jakiś zajebisty grób z neonami i żeby w środku też było jakoś kolorowo, a nie tylko drewno, szaro, smutno, po co to komu. PRZYSZŁOŚĆ LUDZKOŚCI TO RADOSNY WIKSA-POGRZEB, a przynajmniej tak głosi baner, o który opiera się martwy Zbyszek, szukając zapalniczki w torbie. Głuche pacnięcie. Od dachu odbija się martwa wrona i spada kilka metrów przede mną. Patrę na jej przymknięte oczy. Ptaki też wypły wodę i spadają z nieba, trawa przestała rosnać, ryby wypływają z wody, łapią powietrze, a potem umierają i zamieniają się w cekinowe płaszcze. Najgorzej mają te dziewczyny, co pracują w call-center, bo nie pozwolili im zejść ze zmiany nawet, kiedy zeszyły na zmianie. Wszyscy się kręcą niespokojnie, kolejka się ciągnie przez sześć ulic, aż ludzie na końcu stoją w polu, w błocie po kolana. Zamyślam się i przyzwyczajam do dziwnej suchości w ustach, bólu głowy, zmęczenia. Więc tak wygląda śmierć, chyba można się przyzwycząić. Jest taka plota, że ci, co nie mają hajsu na wiksa-pogrzeb, nie mogą umrzeć. No nie stać ich. Choć zrobić wiec, więc malują transparenty krwią. Łodziarz krzyczy przez megafon REWOLUCJA, REWOLUCJA i gra tę muzyczkę tiru-riru-riru-ru. Niektórzy idą za nim i będą żądać dostępu do prywatnej studni. Reszta pilnuje sobie miejsca. Dajcie chociaż umrzeć w spokoju — krzyczy martwa. Ja też nie idę. W ulotce piszą, że oprócz jednorazowej opłaty TECHNO/WIKSA pobiera stałą subskrypcję na śmierć. Może to droga impreza, ale warto. Szukam wzrokiem jeża, którego dokarmiam zawsze jesienią, żeby przybrał na wadze. Czy pił z kałuży? Jeżu, ty wielka świnię, wołam, i wychodzi zza węgła rozkarmiony jeż, wielkości lodówki.





Jeź jest cały i zdrowy, potężny i ma paciory zamiast oczu. Słuchaj, masz tu pilota do telewizora, 600 kanałów, radio, piekarnik nastawiasz prawym przyciskiem. W szafce jest owsianka i biało, żebyś wyrósł na potężnego bydlaka. Kocham cię, stary. Już nigdy nie zaśniesz na zimę. Płaczę, jeź, wielka świnia, też ma łzy w swoich czarnych oczach. Przytulam się do jego miękkiego podbrzusza i gładzę pyszczek. Kocham cię, stary, serio. W kałuży odbija się rozżarzone niebo. Daleko stąd, koło studni, wybucha pożar, ktoś coś krzyczy. Ludzie tam walczą o wodę, o życie walczą, a my tu stoimy w kolejce do TECHNO/WIKSY. Trochę grzeje już ten ogień, ale żal wychodzić z kolejki. Rozglądam się. Jesteśmy tylko my, bo wszyscy teraz kłębią się w tym ogniu, dwa kilometry stąd. Strzelają powiadomienia w kieszeni kurtki, skaczą nagłówki REWOLUCJA, koniec prywaty [FILM], SZOKUJĄCE! WODA PITNA DLA KAŻDEGO?, itd., itd. Patrzymy na ten przerażający obraz miasta, które płonie, a jego woda jest skażona. Nagle z budynku wychyla się przezroczysty człowiek i zaprasza mnie do środka. Patrę na jeża, mówię: odwiedź mnie czasem, zamontuję sobie fajne lasery i kulę dyskotekową. Jego oczy robią się tylko wielkie i okrągłe, bo wie, że tak naprawdę widzimy się po raz ostatni. Wielka fala przechodzi nad miastem, nie wiem, czy to już ogień, czy gorący dym z tego ognia, który podnosi temperaturę i topi asfalt. Puszczam jego potężną łapę, która przypominała mi o wszystkim, co kocham w życiu — poczuciu sytości, ciepłe, wielkich, zajebistych jeżach. Czuję ukłucie, przekraczam neonowe przejście. Słyszę, jak z oddali wszyscy głośno płaczą. Ziemia zalewa się łzami, a one zamieniają się w wodę, której nikt nie może wypić. I tak w nieskończoność. I tak w nieskończoność.

# PLUSZOWY MIŚ



Tatry Zachodnie wystawiają szpony i częstują gorzką herbatą zagubionych wędrowców. Gdy siedzę na szczycie, górski świat spowija mgła. Nadchodzi burza, bo *cumulus* w ciemnym płaszczu zgarnął wszystkie pieniądze ze stołu. Piorun uderza w krzyż. Dwadzieścia osób rannych. Jedna ofiara śmiertelna. Na szczęście nie siedzę na Giewoncie, huk słyszę z oddali.

Zielony szlak to droga ku wybawieniu. Skąty są nierówne i śliskie, potykam się. Spoconym policzkiem przytulam się do zimnego kamienia. Nie mogę wstać, siedzę i dotykam obolałej kostki. Zakrwawioną dłoń owijam bandażem z apteczki. Spotykam innych turystów, mijamy się spojrzeniami. Nie zatrzymują się, uciekają przed zmrokiem.

Przymykam powieki, przywołuję mężczyznę w czapce z daszkiem. Ma heterochromię — jego tęczęwki to Rysy i Gerlach. Wyciąga dłoń w moją stronę i pomaga wstać. Z plecaka wyciąga termos z gorącą kawą.

— Napij się, a potem ruszamy. Czeka nas walka z czasem.

Chcieliśmy przełamać strach przed potęgą. Pragnienia o wyzwoleniu schowały się w futrze wygłodniałego niedźwiedzia. Rwący potok uspił naszą czujność. Siedzimy nad brzegiem, zajadamy suchy chleb, mech łaskocze opuszki palców, poziomki podniebienie.

Potężna bestia skrywa się w gęstwinie, żółtymi ślepiami wypatrzuje pożywienia. Boi się, ma mocne postanowienie na nadchodzące dni. Nie chce już dłużej obgryzać pazurów. Przygląda się ludzkiej zwierzynie grasującej przy potoku. Potrzebuje świeżych ryb dla swoich dzieci, niedźwiadków beztróska biegających po lesie. Dostrzegam niedźwiedzicę kątem oka, szturcham łokciem mężczyznę. Patrzy w jej stronę i uśmiecha się. Bestia staje na dwóch łapach, daje nam ostatni znak.



— To tylko pluszowy miś. Masz ochotę wyrwać z niego trochę pluszu?

Mężczyzna macha w stronę niedźwiedzicy. Pod nosem szepcze o broni palnej. Wyciąga pistolet na wodę, a niedźwiedzica biegnie, ile sił w łapach. Małe misie chowają się w zaroślach. Niedźwiedzica musi zabić dla dobra natury. Mężczyzna musi zabić w imię wolności. Miś atakuje pluszowymi zębami. Turysta traci rękę, koniuszki palców lądują na trawie.

Wrzaski zagłusza szum wody. Nie krzyczę, gdy potok zmienia się w wartki strumień krwi. Bestia chwyta za gardło. Wiatr chwyta za krzyż i wyzwala Giewont. Niedźwiedź wyrywa wnętrzności: nerki za sikanie na drzewa, żołądek za polowanie na kaczki, wątrobę za butelki rzucone do wodospadu.

W rwącym potoku walczę o przetrwanie, kurczowo trzymam się skały. Krew obmywa włosy, zostawia metaliczny posmak na końcu języka. Tęsknię za zapachem chloru. Czy jeszcze kiedyś popływam w basenie? Góry odpowiadają milczeniem. Niedźwiedzica powstrzymuje łzy. Musi być twarda i wrócić do dzieci. Mężczyzna leży martwy przy górskim potoku. Nigdy nie przemówi już w języku niedźwiedzi. W jaskini małe misie siadają do wieczerzy. Niebawem turyści przyniosą im plastikowe sztucce.



HAPPY BELLY  
CORN OIL



Pamiętam, że koszulki wiązało się i przytrzymywało w wybielaczu, żeby powstały takie właśnie hippie wzorki. Tie-dye. Kiedy wchodzisz do tramwaju na przystanku Rynek, uchylam powiek i budzę się w szła-sie potów, w dorzeczu Amazonu. Pachniesz jak świąteczna zupa cebulowa z serem gruyère, którą przesiąkały nawet zimowe płaszcze. Patrzą, jak wokół włosów na szybie zbiera się obłoczek tłuszczu. Zastanawiam się, ile kurczaków trzeba ustawić na głowie Harlanda Sandersa, żeby dosięgnąć Księżycy? Potem, kiedy zasypiasz, wyobrażam sobie, jak wszystkie budzą się i unoszą cię do lepszego miejsca, innego stanu. Jadąc do pracy, patrzę na ciebie, smutna dziewczyno kończąca zmianę w kejejsi, maku czy innym dusznym bagnie, i powtarzam sobie: Happy Belly Peanut Oil, Happy Belly Canola Oil, Happy Belly Corn Oil i wszystko to, czym pachniesz jeszcze.





Jedną z najważniejszych granic w literaturze polskiej jest granica, po której przekroczeniu autor wie, że ma prawo nadal karmić nadzieje na nominacje, na nagrodę, na dalsze życie swojej książki. Ta granica znajduje się między trzecią a czwartą gwiazdką w recenzji z „Polityki”. To granica porównywalna do tej pomiędzy pytaniem za dwadzieścia a pytaniem za gwarantowane czterdzieści tysięcy złotych w *Milionerach*. Jeżeli masz już gwarantowane czterdzieści tysięcy — możesz odetchnąć. I zaryzykować dalszą grę w pisanie. Bo oto stało się: okoliczności stworzone przez reguły rynku okazały się dla ciebie przyjazne, wpisałeś się w nie, a one cię nie odrzuciły, jak gorącego kartofla. Przyjąłeś się, i kwitniesz. Byłeś więc za progiem, ale nie potknąłeś się o niego, tylko zgrabnie przeskoczyłeś pułap, dzięki czemu możesz być pewien, że piszesz dobrze, czyli co najmniej tak, jak inni czterogwiazdkowcy. To jedyna czwórka, z której prymus może być prawdziwie zadowolony, nieprawdaż? Teraz nie można już po prostu ignorować twojej obecności w tym maluśkim pokoju środowiska literackiego. Dzięki czwartej gwiazdce nastąpiło w tym pomieszczeniu poruszenie: jeden atom uderzył w drugi, drugi w trzeci i czwarty, trzeci i czwarty w kolejne — aż zadrzały wszystkie i zaczęło wrzeć. Poszła fala. Trzy gwiazdki nie dałyby rady jej wzburzyć, trzy gwiazdki to właściwie wyłącznie żółte znaczki, trochę tylko lepsze od emotikonów. W najlepszym razie trzy gwiazdki ułożą się w zdawkowy uśmiech recenzenta: uśmiech człowieka nieobecnego myślami, niezawracającego sobie tobą i tą twoją książką głowy. Trzy gwiazdki są jak omiecenie spojrzeniem, w którym nie błyska dla ciebie nic, ani jeden blik. To puste spojrzenie — owszem — rejestruje obecność autora, ale nie mówi: chodź, przedstaw się. Ono milczy. I tylko — czy ci się wydaje, czy naprawdę to słyszysz? — zza tego spojrzenia rozlega się westchnięcie zawodu, cichutkie meeh. Dopiero czwarta gwiazdka podłącza maszynę do prądu, dopiero czwarta gwiazdka ma moc pozwalającą załsnąć kierowanym w twoją stronę oczom. Pstryk, i z ciemności, których rozświetlić nie były w stanie wątłe płomyki trzech gwiazdek, wydobywa cię żarówka. Och, nie tylko żarówka zresztą! Od tego prądu, który potrafi wygenerować czwarta gwiazdka, wszystkie martwe sprzęty wypełniające twój świat wybudzają się i zapalają diody. Wszystko działa, wszystko gra.



Ta granica między trzecią a czwartą gwiazdką jest wśród granic międzygwiazdnych najmniej zbadana. To tajemnicza, wijąca się i delikatna linia. Pożądana, ponieważ nieuchwytna, gdy tak ślizga się niczym nitka ugotowanego makaronu, która wpadła do zlewu podczas odcedzania. Nie istnieje chyba żadne równanie, które pozwoliłoby opisać i przewidzieć jej ruchy. Jej przeciwieństwem jest za to granica między gwiazdką drugą a trzecią. Ta przebiega wzdłuż przepaści, za którą rozciąga się Tartar, pełen pojękujących skazańców. W takiej ciemnicy wszystko już właściwie jedno, czy pozostaje się na terytorium, któremu patronują dwie gwiazdki, czy stopa omsknie się i wlecimy do obszaru gwiazdy pojedynczej, tej osamotnionej. Równie dobrze można umrzeć, będąc nikim, będąc nikim, będąc nikim. Odwrotnie rzecz ma się za to z granicą między gwiazdką piątą a szóstą. Piąta jest maksimum, które można osiągnąć w „Polityce” za życia, tę szóstą za to można zdobyć wyłącznie po śmierci. Granica między nimi jest wszystkim, ale nie masz z jej przekroczenia żadnej radości. Najwyżej twój spadkobierca jej uszczkną. Szósta gwiazdka jest bowiem gwiazdą boską, odznaczeniem dla poległego. Jest medalem przypiętym przeszłości, hołdem dla tego, kto już nie wywinie żadnego numeru i na przykład nie skompromituje się. A ze sobą i gwiazd.





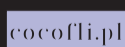
## 18. Opowiadania

International Short  
Story Festival

Wrocław miasto spotkań

Zadanie „Festiwal Opowiadania – edycja osiemnasta”  
jest współfinansowane ze środków finansowych  
otrzymanych od Gminy Wrocław. [www.wroclaw.pl](http://www.wroclaw.pl)

### Partnerzy



### Patroni medialni

